



Józef Weyssenhoff

Jan bez ziemi

ROMANS

Józef Weyssenhoff

Jan bez ziemi

romans

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez tengr-ai

Tekst wg edycji z roku 1929.
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-169-3

I.

Pałac Radomickich w Gdeczcu wyszedł prawie obronnie z opalów wielkiej wojny. Wykosztował się na przyjęcia bohaterów rozmaitego kalibru, to jedno mających wspólnego, że wszyscy mieli dobry apetyt i nieugaszone pragnienie; osuszyły się znacznie piwnice pałacowe, przerzedło w stajniach i oborach, zapodziały się niektóre dzieła sztuki, pozostawione na widoku, a ponętne dla Niemców, namiętnych kolekcjonerów. Ale ostatecznie, po przejściu huraganu, po kilku latach marnego dochodu, pałac stał nie spalony, ani zbombardowany, a tłuste role folwarków zaczęły znowu rodzić swym odwiecznym dziedzicom. W parę lat po pokoju wersalskim nie było już w Gdeczcu śladów wojny.

Zakwitło życie pałacowe, rodzinne i sąsiedzkie na starą modłę. Pan Ambroży Radomicki był tęgim i umiętnym agronomem, dużo młodsza jego żona, Wercia — mistrzynią w zarządzaniu życiem pałacowem, a przytem bardzo piękną i otoczoną hołdami panią. Pomimo kilku lat wspólnego pożycia państwo Radomiccy nie mieli jeszcze dzieci.

Tryb życia w Gdeczcu nie zadziwiał bliskich sąsiadów, którzy utrzymywali się w swoich dworach mniej więcej na tym samym poziomie, ale wprowadza! w zdumienie przybyszów z innych, spustoszonych ziem Rzeczypospolitej. Z tych jedni już zgodzili się na zredukowanie potrzeb i przywyknień, inni z przymusu dźwigali czarną nędzę i żalobę po życiu pańskim, niepowrotnie minionem. Tu zaś zastawali dostatek obfity, pracę natężoną, maszyny w wartkim ruchu, obok przepychu życia dworskiego, w kraju kwitnącym, gdzie przyległe wsie były dostatnie i nie zazdrosne, a miasta pulsowały zdrowiem i siłą rozrostu.

Jan Skumin, chociaż gościł w Gdeczcu już od paru miesięcy, nie ochłonał jeszcze z przejmującego wrażenia, które mu sprawiała Wielkopolska, pierwszy raz oglądana zbliska i przez czas dłuższy. Pochodził z Litwy, z możnej tam rodziny, dzisiaj ograbionej doszczętnie i wygnanej z dziedzicznych włości. Przeżył temi czasy okrutne losy tego nieszczęsnego pokolenia ziemian, które tłum bezmyślny wyzuł z odwiecznych siedzib, niszcząc przez to kwiat i chlubę i cywilizację swej rasy. Utraciwszy nadzieję pomyślniej zmiany, Skumin starał się zapomnieć o swej preegzystencji w kraju szczęśliwości, ale nie zdołał dotychczas znaleźć miejsca choćby spokojnego dobrobytu w szerszej ojczyźnie.

Gościna w Gdeczcu, u dalekich krewnych, była mu tym czasowym narkotykiem dla złagodzenia moralnego rozstroju, w który go wprowadziły ponure przemiany losowe. Tego rozstroju mało kto się domyślał. Janek doskonale nosił maskę beztroski i swobody, że zaś był kawalerem trzydziestopięcioletnim,

przystojnym i rasowym, łatwo mu wszyscy przebacжали jego bezroboczość.

Pod wieczór upalnego dnia sierpniowego Janek stał sam przed frontem głównym pałacu gdeckiego, który ogromną klamrą oficyn i atynencyj, połączonych arkadami, okalał podwórze. Wokoło podjazdów ego kręgu, stojącego w kwietne floresy, służba stajenna oprowadzała konie. Nie czyniono tego dla Skumina; zwyczaj był stały w Gdeczu tej parady końskiej przed wieczorem. Ale Janek interesował się końmi, znał już wszystkie; pomimo to porozumiewał się z masztalerzem i pachółkami co do wyrabiania się takiego tam dwulatka, lub żartości żrebnej klaczy. Służba odpowiadała grzecznie młodemu hrabiemu, wiedząc, że jest w kuzynostwie z „naszym hrabią“, a sądząc też, że na wyjeździe da grubsze napiwki tym, którzy go wozili, albo podawali mu konie wierzchowe. Nie wiedzieli zaś, że hrabia Skumin ma dzisiaj mniej pieniędzy, niż masztalerz w Gdeczu.

Przeszły już po kilkakroć wokoło trawnika białe araby i ciemne angliki, wielkie trakeny i korsykańskie kuce — odprowadzono je do stajen — nie było już o czym mówić. Janek zapatrzył się w lukę między budynkami i drzewami, przez którą przebłyskiwało zdaleka żółte pole oziminy; układano na niem wielką stertę zboża. Robota szła składowo i szybko, z pomocą elewatorów elektrycznych.

Janek pomyślał, że u niego, w Hołojku, nie stawiali stert w polu, ale brali zboże na wozy i zwozili do stodół. Po drogach wlokły się wozy, ciągnięte przez krępe mierzyny żmudzkie, które przepadały, niby grube szczury, pod przygniatającym je ładunkiem złotych snopów. Słoma czepiała się drzew przydrożnych, padała i na drogę, a zarazem rozsypywało się i trochę ziarna... Tu jest praktyczniej, ale tam było milej...

Pociągnął z lubością powietrza, które zdało mu się przynosić stamtąd, od dalekiej sterty, błogosławioną woń chlebowego ziarna.

— Ale pachnie tak samo — rzekł głośno i oczy mgłą mu zasłży.

— A Janek komponuje tu pewno wiersze? — usłyszał głos pani Werci, która stanęła we drzwiach głównych pałacu, ubrana w kostjum myśliwski barwy leśnej, ze sztucerką, przerzuconym przez ramię.

Trochę zaskoczony, Janek nic nie odpowiedział, skłonił się tylko, jakby potwierdzał. Więc pani Radomska zaczęła znowu:

— Jedziemy za dziesięć m inut na podjazd kozła. Chcę zobaczyć, jak strzelasz; pojedziesz ze mną. Śpiesz się.

Janek zrozumiał, że powinienby się przebrać do lasu, ale nie chciał się przyznać, że nie posiada właściwego stroju, ani rynsztunku myśliwskiego. Rzekł więc wykrętnie:

— Las chyba suchy, gdzie pojedziemy?

— Suchy, jak to podwórze.
— Więc zmienię tylko trzewiki. Ale dajcie mi strzelbę.
— Dam ci sztucer od pary z tym moim. Powiedz Antoniemu, żeby ci przyniósł sztucer Nr. 2.

Skumin znikł w pałacu, a tymczasem na podjazd wysypało się kilkanaście osób domowych i przyjezdnych. Trzej panowie przybrani byli do lasu, ze strzelbami. Oprócz pani Werci, którą liczone za strzelca, trzy inne panie, w toaletach rozmaitych, wybierały się do lasu bez strzelb, dla przeszkadzania myśliwym. Zjawiała się i uroczą staruszką, panna Radomicka, wysokiego rodu, lecz drobnego wzrostu, którą z tego powodu nazywano „ciocią Figą”. Nie pojedzie do lasu, lecz przyjrzy się odjazdowi, bierze bowiem udział we wszystkich ruchach i zabawach towarzystwa, ku swojemu i powszechnemu zadowoleniu.

Tym czasem od stajen zbliżały się cztery bliźniacze bryki „podjazdowe”, niskie, wygodne do wsiadania i wysiadania, z łóżyskami na strzelby przed głównem siedzeniem, i miarowym kłusem pięknych koni zajeżdżały przed pałac.

Ale z innej strony dojeżdżał człowiek byle jak ubrany, na mizernym koniu, z pewnością nie dworski, odbijający prostactwem od wykwintnego towarzystwa. Zeskoczył z konia, dobył z zanadru telegram i szukał przez chwilę oczyma:

— Do rąk własnych jaśnie hrabiego Radomickiego...

Pan Ambroży był też przy strzelbie i wyglądał wspaniale, jako generał wyprawy, trochę z pruska, z powodu sztywności karku i energii spojrzenia, ale po przeczytaniu depeszy zaklął iście po polsku:

— Psiakrew! Zawsze w ostatniej chwili! — Dlaczego nie podano mi depeszy przez telefon do Gdecza?..

Posłaniec nie wiedział. Ambroży zwrócił się do gości:

— Nie mogę jechać do lasu. Przed zmierzchem muszę się znaleźć w Poznaniu.

Posypały się protesty, typowe dla towarzystw rozbawionych: — Daj pokój! — Czy katastrofa? — Poznań nie ucieknie i t. p.

— Ludzie, których mam spotkać, wyjeżdżają dziś w nocy zagranicę. Wercia lepiej, niż ja, zaprowadzi was na dobre miejsca.

Protesty umilkły, wiedzano bowiem, że Radomicki nie poświęci dla polowania ważnych interesów.

Na pierwszej bryczce umieściła się pani Wercia ze Skuminem, na trzech następnych inne pary — i kompanja pomknęła wesoło do lasu.

Radomicki kazał sobie podać natychmiast samochód, który za godzinę mógł dojechać do Poznania. W oczekiwaniu samochodu usiadł w hall’u, obok drobnej cioci.

— Zabijasz się robotą, Broziu — mówiła troskliwie staruszka.

— Zabijam się, mówi ciocia? — Jabył właśnie nie żył bez roboty. I cóż to za robotą? Jeżeli tych panów dosięgnę zaraz, mogę na wieczerzę być zpowrotem w domu.

Zabrzmiął przed frontem sygnał samochodu.

* * *

Nie była to kompanja łowiecka awanturnicza, pełna dzikiej ochoty i typów oryginalnych z usposobienia i ubrania, najeżona strzelbami rozmaitemi, stłoczona razem z psami, skomlącemi niecierpliwie do rozkoszy łowów, jak owe starożytne wyprawy z ogarami do wielkich lasów na kresach wschodnich. Ani to metodycznie zorganizowana rzeź drobnej i średniej zwierzyny na polach wielkiej kultury, strzeleckich popisów i zazdrosnych rekordów. Była sobie taka uzbrojona przejażdżka, pośrednia między kołysanką powozową, sennym flirtem, a sportem myśliwskim. Nawet chłopci, zbierający zboże z pól, nie zdawali sobie odrazu sprawy, poco dziedzice z kumami wybrali się w pole; przywykli zresztą oglądać wałęsanie się państwa po drogach w paradnych cugach, że to ani ludzie, ani konie nie mają nic lepszego do roboty.

Niecierpliwym kłusem wypoczętych koni sunęły bryczki po wybornej szosie, gęsto obsadzonej drzewami owocowymi. Czerwone wiśnie wyglądały z listowia, zalecając się do smaku, lecz nie nęciły przejeżdżających, gdyż widok ten był niezmiernie pospolity w okolicy, zbiór zaś owoców przydrożnych wydzierżawiony kontraktowo przedsiębiorcom. Gdy powozy zjechały na boczną drogę, ta okazała się również ubitą i gładką, założoną regularnie, nie zaś wytkniętą przez odwiecznego pioniera, a wyjeżdżoną przez stada naśladowców.

Ucichały rozmowy i śmiechy w powozach, zbliżano się bowiem do dzisiejszego celu wyprawy, do tak zwanej Winnej Góry. Była to rozległa wydma gruntu, pokryta lasem, tem bardziej ciągnąca oczy, że kraj był naokoło płaski. Po upale i lekkim kurzu równiny, wjeżdżało się z rozkoszą pod cienie sosnowe, przepojone wonią żywiczną, o tej porze dnia przedwieczornej. Na brzegu lasu zatrzymały się powozy, a pani Wercia, trzymająca dowództwo, zarządziła rozmieszczenie myśliwych, dając instrukcje woźnicom. Dwie bryczki wysłała o kilometr na prawo, do łączki podłejnej, na którą zwykły był wychodzić, między innemi, wspinały szóstak z niepospolitem urojeniem. Trzecią bryczkę posłano na lewo, w niższe strefy lasu. Bryczka Werci miała się wspinać na samą Winną Górę, zajmującą środek lasu.

— Pamiętajcie tylko — mówiła wesoło — że ja z Jankiem będę buszowała koło szczytu. Nie grzmijcie w naszym kierunku.

— Wszystkie nasze kule uwięzną w kozłach — odpowiedział ktoś buńczucznie.

— No, no, już ja was znam. A teraz zwijajcie się, bo już sarny zaczynają się ruszać.

Naczelna bryczka podjazdowa wjeżdżała w las, pod górę nie stromą, lecz powoli, bo już w każdym miejscu można było spodziewać się spotkania z sarnami. Janek i Wercia nabili sztucery i rozglądali się na wszystkie strony; jeżeli porozumiewali się, to szeptem.

— Patrz, patrz... na linji, na prawo, stoi jedna sztuka — szepnął Janek, zwieszając już nogę na stopień bryczki.

Wercia chwyciła szybko za lornetkę: — Ej, nic — stara koza jałowa — znam ją.

Jechali znowu bez słowa, wierząc zarośla badawczymi spojrzeniami. Nie zachodziła dla nich potrzeba żadnych porozumień. Bo, że las przyciemniał, stawał się coraz zawilszym i fantastyczniejszym, że do żywicznego zapachu mieszały się wonie coraz nowe jakichś ziół i kwiatów, szmery jakichś poników niewidzialnych, czarowne pobrzęki usypiającej lutni leśnej — o tem nie mówili młodzi, pochłonięci chwilowo przez zabawę łowiecką. Nasiąkali tylko podświadomie pogodą i zdrowiem.

Droga zwężała się, dziczała i stawała się coraz bardziej stromą.

— Tu już musimy iść pieszo — rzekła Wercia. — O podjeżdżaniu kozła nie może być mowy. Gąszcz i wąż będzie zaraz. Gąsior! — zwróciła się do woźnicy — niech Gąsior podjedzie tam do dwóch dębów i czeka na nas.

Szczyt leśnego pagórka przedstawiał widok niezwykle. Stok jego, wystawiony na południe, pokryty był rzadkiem, wymierającym zadrzewieniem, w przeciwieństwie do sąsiedniego lasu, urządanego normalnie w młodsze i starsze zagaje. Pośród chudych drzewek i wysokich chwastów widniały zasadzone niegdyś regularnie rzędy krzaków winnych. I te były przetrzebione, skarłałe, rozpełzłe po ziemi, zadziwiała jednak samem swem istnieniem pośród lasu.

— Co to? Zarzucona winnica? — zapytał Skumin.

— A tak, stara winnica. Są w papierach ślady istnienia jej od 17-go wieku — odpowiedziała Wercia. — Dlatego cały ten kawał lasu nazywa się Winna Góra.

— Ciekawy tu kraj i ślady odwiecznej kultury — zauważył Skumin. — Wino sadziliśmy niegdyś w polu. Bo nie widzę śladów dawnej osady mieszkalnej... Może są gdzie w pobliżu?

— Niema — odrzekła Wercia. — Są tu kozły, więc sprawiamy się cicho.

Natrafili wkrótce na wąż, który trzeba było zgłębić do dna i wyleźć na odkos przeciwny. Pani Wercia pokonywała te trudności zręcznie i technicznie,

czepiając się krzaków przy wspinaniu się w górę, a opierając się na obcasach przy schodzeniu. Zauważyła z przyjemnością, że Skumin radzi sobie niegorzej od niej i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Ceniła bowiem bardzo gimnastyczną sprawność i sportowe wyszkolenie. Zanim wyszli — na skraj wąwozu, zakomenderowała szeptem:

— Wychylmy tylko głowy i patrzmy. Tu codzień wychodzi tęgi kozieł.

Rzeczywiście, gdy wyrzeli z wąwozu, zobaczyli na polance wpobliżu krzaków płowy profil sarny. Ale oboje poznali odrazu, że to koza. Janek spojrzał rozczerzanymi oczami na kuzynkę, która odpowiedziała ledwie dosłyszalnie:

— Widzisz? Koza ogląda się za nim. Nie bój się, on zaraz przyjdzie do niej.

Przyklękli u brzegu wąwozu, zbliżeni do siebie twarzami. Gdy mówiła cichutko, Janek poczuł upajający powiew jej oddechu, niby lotną treść pocałunku. Ale ona wyteżonym spojrzeniem wywoływała tylko kozła, którego obiecała stanowczo. Jakoż zjawił się po minucie, niby wytresowany i posłuszny, kozieł-szóstk, na wygodny strzał o kilkadziesiąt kroków. Pani Wercia pociesznymi minami rozkazywała Jankowi: — „Walże go, a prędeż!” — Skumin przyłożył nieznany sztucer do ramienia — i wystrzelił.

Koza prysnęła wyciągniętym cwałem i przepadła w krzakach, kozieł zaś wyprostował szyję i trwał na miejscu przez sekundy, jedną — drugą. Zanim minęła trzecia, huknął strzał Werci i kozieł padł rażony śmiertelnie.

Chociaż pogromczyni nie wyglądała szyderczo, owszem radośnie, z rumieńcem na policzkach i błyskami w oczach, Skumin nie poczuwał się do wdzięczności za poprawkę jego strzału, raczej czuł się upokorzonym. Zaczął wydziwiał:

— Bo też sztucer jakiś... niedobrze leży w ręku i nie ma wagi na przód...

— Para od mojego i wcale nie gorszy. Trzeba tylko brać na cienką muszkę.

— Nie wiedziałem. Mogłaś mnie uprzedzić.

— Mogłeś i ty zapytać, albo wypróbować sztucer do celu przed wyjazdem.

Skumin poczuł naraz, że zewszepochmiar niepolitycznie jest sprzeczać się z gościnną panią lasu i uroczą kuzynką. Rozpromienił twarz trochę sztucznie i rzekł:

— Zdarza się staremu nawet myśliwemu spudłować kozła. A tu i strzelba nieznajoma, i ciągle twoja obecność tuż przy mnie...

— Przeszkadzałam ci? Pierwszy raz to słyszę! Wszyscy mi mówią, że przynoszę szczęście na polowaniu.

— Nie wątpię, Werciu. Ale i odciągasz uwagę od zwierzyny ku sobie.

Błysnęła ku niemu szybkim, badawczym spojrzeniem i, uspokojona, — że Janek nie ma już do niej urazy za strzał, mówiła:

— Zgłowałeś kozła, Janeczku. Widziałam, jak kula uderzyła w gałąź, tuż

nad jego głową. Kozieł poczuł kontuzję i zgłupiał, a ty...

— Zgłupiałem także, chcesz powiedzieć?

— Janku! Nie chcę się kłócić, tylko ci tłumaczę. Widzę, że nie strzelasz z drugiej lufy, a kozieł zaraz uskoczy w krzaki... Cóż miałam począć? Sprzątnęłam go.

Tłumaczyła gorąco. Ożywienie jej twarzy mieniło się od łowieckiego do zalotnego. Rzucała Jankowi prosto w twarz wyrazy dobitne i pachnące. Aż on pozbył się wszelkiej ambicji strzeleckiej, chwycił obie jej ręce i rzekł mniej dorzecznie, niż namiętnie:

— Masz słuszość, Werciu. Dziękuję ci...

— Dziękować niema za co. Owszem, ja cię... przepraszam.

W oczach jej zaigrało niby zawstydylenie, bardzo podobne do bezwstydu. Usta były za blisko jedne drugich. Janek pochylił się i chwycił krótki, lecz mocny pocałunek.

Cofnęła się, jednak po chwili przyzwolenia. Gdy zaś on, ośmielony, przymawiał się o powtórzenie, odsunęła się ruchem stanowczym:

— A nie! Do razu sztuka.

I zawołała: — hop! hop! na służbę, aby zabrała ubitego kozła.

Towarzystwo zjechało się wkrótce do kupy, bo już słońce zaszło. Cztery bryczki powracały do domu w poprzednim ordynku. Janek i Wercia na przedzie. Skumin zdał sobie sprawę, że ta pozycja naczelna w szeregu wyłączała możliwość porozumień w stylu tamtych, nad wąwozem. Gdyby nawet jechali odosobnieni i osłonięci tajemnicą lasu, Janek nie spodziewałby się no w ego wybuchu czułości. Wercia siedziała obok niego, nie okazując zbytniego wzruszenia, małomówna; nie spoglądała nawet na towarzysza. Jankowi zaś smak ust towarzyszki działał jeszcze na mózg durem upajającym.

Pod wpływem tego duru wieczór, piękny sam przez się, wydawał się cudownym. Nad rozłogami pól złotych na rzyskach, amarantowych na koniczynach nasiennych, szmaragdowych na łąkach, rozsnuwały się opalowe mgiełki pozachodnie, gaszące lubym chłodem resztki dziennego upału. Kopuła niebios, płowiejąc i blednąc, zdawała się prowadzić w nieziemskie zachwyty. A na prawo od drogi zawisł sierp nowego księżyca, zapalony już jasno.

Jankowi zebrało się na sentyment:

— Patrz, Werciu, nowy księżyc na prawo — to dobra wróżba.

— Dla kogo? — odezwała się Wercia, pierwszy raz w tej powrotnej jeździe zaglądając głęboko w oczy Janka.

— Może dla nas? — zaryzykował.

— Nie wiem — wzruszyła ramionami — nie zależę od księżyca.

II.

Życie pałacowe szło swym trybem wystawnym, barwnym i wesołym, ale bez wybryków i szaleństw, jakby poruszane przez wybornie nastawiony aparat zegarowy. Treść główną tego życia, obowiązkową, stanowiło gromadzenie się przy stole biesiadnym, o ściśle oznaczonych godzinach; inne zajęcia, jak polowanie, przejażdżki, tenis i t. p., zależały od pogody i od ochoty gości; niektórzy uprawiali też grę w bridge'a z godnym podziwu zapalem i nakładem inteligencji. Sam tylko gospodarz nie poczuwał się do obowiązku uczestniczenia w całym programie dziennym, opuszczał nawet czasami Gdecz dla sprostania swym zajęciom administratora wielkiej fortuny i czynnego w sprawach publicznych obywatela.

Lecz goście, którzy tu przybyli z sąsiedztwa lub ze stron dalszych, doznawali wrażenia natężonej pracy przy spełnianiu wszystkich zadań dziennych. Po dniu roboczym każdy zasypiał z poczuciem, że dzień spędził przyjemnie i pożytecznie, budził się z ochotą powtórzenia wybornego programu.

Dawano jeść i pić wybornie. Sam pan Ambroży, choć mniej sybarytycznie usposobiony, niż wielu innych, znał się na kuchni i dbał o nią, choćby dla tradycji rodzinnego pałacu, który oddawna podejmował zacnie swych gości. Dzisiaj nie była to już kuchnia staropolska; ledwie z niej zostało kilka potraw przedniejszych. Kuchnia była zasadniczo francuska, trochę tylko obciążona naleciałościami niemieckimi. W piwnicy, gdzie nie brakło starych węgrzynów i win reńskich, górowały wina francuskie, umiejętnie dobierane i sprowadzane z kraju ich urodzenia.

Nie wszyscy biesiadnicy umieli fachowo oceniać, co im podawano; ale w kalejdoskopie osób, które tu się zmieniały w ciągu lata, zdarzali się i niepospolici znawcy.

Zjechał tu naprzykład pan Dymitr Chalecki, wybitny obywatel z Rusi polskiej, niegdyś członek z wyborów rosyjskiej Rady Państwa, nazywany stąd dotychczas „senatorem“, kierownik różnych instytucji polskich, ziemianin dużej władzy moralnej w swojej prowincji i dużej fortuny, zagarniętej obecnie w całości przez Sowiety. Nie przeszkadzało mu to do świetnego humoru i wybornego apetytu, pomimo lat ośmdziesięciu. Gadał na potęgę, z młodocianą werwą, jadł i pił ze znanstwem. Dawał z siebie wzór niepożytej rasy, fizycznej i duchowej. Perorował naczelnie, przywykły do posłuchu u siebie, na Wschodzie, ale i z ugrzecznieniem, nabytem w rozmowach z dostojnikami, gdyż bywał w ciągu długiego życia w różnych krajach i wiele miał ciekawych wspomnień.

Łączył w sobie powagę historycznego poniekąd męża z żartobliwością litewskiego facecjonisty, którego też miał charakterystyczną wymowę.

Nie mógł się uspokoić nad tym kwitnym, nieuszkodzonym przepychem wielkopolskiego pałacu.

— Już to, przepraszam pana hrabiego — mówił do gospodarza przy obiedzie — widać, że was Niemcy oszczędzali, jak swoich. Niema ani szczyrby w pałacu, ani śladu pustki, znaczy się, w piwnicy. Ręczę, że pijemy same wina przedwojenne — i to jakie!

— Zostało coś niecoś — odpowiadał pan Ambroży. — Gorzej z wódką — całą mi wypili, a miałem i starą litewską.

— O starce nie mów panu senatorowi — wtrącił podstarzały pan Straszyński, z wyrazem twarzy dogmatycznym — miał on najsłynniejszą na Litwie starą; próbowałem jej niegdyś.

— Chowam we wdzięcznej pamięci — odrzekł Chalecki — łaskawe odwiedziny pana szambelana (Straszyński był szambelanem papieskim) w moim dworku. Win tam takich nie mieliśmy, na Białorusi, ale starą była... była — ani kropli nie zostało. Tę starą znał i cenił nawet, przepraszam pana, nieboszczyk cesarz Mikołaj...

— Lubił wódkę, co? — odezwał się ktoś z młodszych. — Podobno, gdy go aresztowano, był pijany do nieprzytomności.

— Ja tam tego nie wiem — odrzekł Chalecki, zniżając głos, ale zaraz dodał wesoło: — No i cóż? człowiek był, lubił dobry napój, jak i każdy z nas.

— Podobno niezły był człowiek, gdy się go znało bliżej? — zapytała pani Radomska, aby coś powiedzieć, z obowiązku gospodyni.

Chalecki, siedząc przy niej, rozmawiał dotychczas głównie z panem Ambrożym, który siedział naprzeciwko. Grawitował, jak zwykle, do najwybitniejszego w towarzystwie obywatela. Ale, zaczepiony przez piękną panią, przypomniał zaraz o innej, niewygasłej skłonności do płci pięknej. Przechylił się dworsko do swej sąsiadki:

— Pani hrabina znalazła łaskaw sze słowo dla nieszczęsnego cesarza Mikołaja. Piękność jest zawsze łaskawa i wyrozumiała.

Pani Wercia spojrzała rozweselona na starego szarmanta, który, dostrzegłszy w jej spojrzeniu iskierkę ironji, jął tłumaczyć poważnie, przyciszonym głosem, jakie tu, w Wielkopolsce, słabe mają pojęcie o Rosji i o sprawach wschodnich. Zwierzał się jej niby wyjątkowo, jako niewieście bystrej i lepiej powiadomionej, zakłopotał ją nieco, bo nie poczuwała się do przypisywanej jej wyższości, ale pochlebił jej zarazem. Już też rozmowy przy stole rozpierzchły się i urosły w gwar głośniejszy, bo podano właśnie szampana.

W znacznem oddaleniu od grupy środkowej siedział Jan Skumin obok

grackiego i wesołego młodzieńca, Krysia Ramułtowskiego. Trzydziestoletni Kryś był pożądanym zięciem dla wielu matek, obarczonych córkami na wydaniu, bo, choć miał reputację trzpiota i uwodziciela kobiet, właśnie to było podniętą dla matek i córek: ta, która go posiedzie na męża, osiągnie triumf nad nim i nad szeregiem zwyciężonych rywalek. Miał nadto Kryś osobisty już, duży majątek ziemski, a to nie zawadzało ani matkom, ani córkom. Ramułtowski czuł się ze swego stanowiska towarzyskiego zupełnie zadowolonym, nie śpieszył się do zamiany życia na osiadłe, rodzinne i obywatelskie. Ze Skuminem poznał się dopiero w tym roku i pokumał się z nim, bo i Jan nie stronił bynajmniej od Krysia. Choć różnych usposobień pod wielu względami, znajdowali jeden w drugim pożyteczne i przyjemne dopełniacze: promieniejący wesołością Kryś umiał rozruszać poważniejszego i zamyślanego Janka. A znowu Janek miał dla Krysia jeden duży powab; choć obaj byli oczywiście „hrabiami“, tego czy innego autoramentu, Skumin był stanowczo z większej szlachty, niż Ramułtowski, tradycje miał bardziej historyczne i świetniejsze koligacje. Przyjem nie było Ramułtowskiemu być ze Skuminem na stopie zażyłości i z nim się pokazywać. Różnica majątkowa między zasobnym Krysiem a świeżo zrujnowanym Jankiem była niejaką przeszkodą w ich porozumieniu, gdyż Skumin nie mógł towarzyszyć Ramułtowskiemu w wybujałych zabawach i nie chciał przyjmować od niego kosztownych uprzejmości. Ale dotychczas nie zdarzyła się podobna zawilość.

Zamieniali dzisiaj przy stole ciche uwagi o obecnych.

— To jakaś mumja gadająca ten Chalecki szepnął Kryś.

— Tak, niedzisiejszy człowiek — odrzekł Skumin — ale wczoraj był większy u siebie, niż wy tutaj, to jest: grał większe role.

— Co też powiadasz! — Ach prawda, on jest z twoich stron. Znasz go dobrze?

— Znam od moich lat najmłodszych. Był przyjacielem mojego dziadka. Dzisiaj — kresowiec obrabowany, tak jak ja. Ale jak się trzyma, co? To nie łatwo po Hiobowych klęskach i w tym wieku. Prawdziwa ilustracja do maksymy „Aequamemento rebus in arduis servare mentem“.

— Czyli jak po polsku? Bo wiesz, ja mam gimnazjum realne, potem agronomja...

— Wszystko jedno. Dość, że to jest tęgi typ arystokracji żywej.

— Doprawdy? Czy to wielka rodzina, Chaleccy?

— Jeden z nich był podskarbis wielkim litewskim pod koniec 16-go wieku — i inni byli dygnitarzami. Ale to nie wystarcza. Trzeba dzisiaj coś znaczyć i coś większego robić w swoim narodzie. Ten przez całe życie robił historję, choćby tylko swej prowincji.

Ramułtowskiemu nie podobał się ten zwrot rozmowy. Uciekł się do żartu.

— Powiedz, dlaczego on nas ciągle przeprasza? — Przepraszam pana i przepraszam pana. — Za co?

— Takie ma już przysłowie. Można mu to wybaczyć.

— Ale przyznasz, że rozkoszny nie jest. Wogóle zaczyna tu być monotonię od paru dni. Płeć piękna się przerzedziła. — Pani Wercia nie wystarczy dla wszystkich — dodał, zaglądając poufale w oczy Janowi.

Skumin nie oddał mu spojrzenia, nie drgnął twarzą, a pomyślawszy chwilę, ogłosił:

— Przyjeżdża tu dzisiaj z Warszawy pierwszy sekretarz poselstwa włoskiego, Canevari, z żoną, piękną podobno.

— Co mówisz?! — Kryś aż skoczył na krzesło: — Skąd wiesz?

— Była depesza przed obiadem. Mają tu być na podwieczorek.

— Ależ to kapitalnie! Nie znasz jej?

— Nie.

— Ja ją widziałem parę razy w Warszawie. Nie wiem, ile ma lat, może trzydzieści pięć, sześć. Ale niewiasta z pięknymi chodami, z dużą rutyną.

— Rutyną dyplomatyczną?

— Nie wiem. Co mi po tem? Ale z doświadczeniem w rzeczach lżejszych.

— To widzę, żeś ją już poznał bliżej?

— Nie miałem okazji w mieście, w tłumie. Na wsi przypatrzymy się jej lepiej.

— Włoszka?

— Bóg ją raczy wiedzieć. Wysoka blondynka z dobrą linią. Wygląda raczej na Angielkę. Mówi po francusku bez akcentu. Słyszałem ją też rozmawiającą po niemiecku równie dobrze. Wogóle kobieta, która napełnia salon swą obecnością.

— Rozumiem: zaczepia głosem lub wzrokiem wszystkich obecnych mężczyzn. Ostrzysz sobie na nią zęby?

— Zęby, jak zęby. — W każdym razie niewiasta bardzo interesująca, taka... można powiedzieć: generalna.

— Czyżbyś chciał powiedzieć: do wszystkiego?

— Może i do wszystkiego.

— Wiesz co, Krysiu, jesteśmy cyniczni. Ty ją znasz zaledwie, ja wcale, a obmawiamy ją na potęgę.

— Cóż to szkodzi? Mówimy o niej między sobą, zgadujemy. Jeżeli okaże się inną, zmienimy o niej zdanie. Ale chciałbym wiedzieć, kto tych cudzoziemców zaprosił do Gdecza? Zapewne pani Wercia? — bo do Ambrożego to nie podobne.

— O ich przyjeździe dzisiaj mówiła mi rzeczywiście Wercia.

Po obiedzie oczekiwano ciekawie egzotycznych gości. Upał był srogi, trudno było nawet grać w tenisa. Cała kompanja skupiła się w stosunkowo chłodnym hall'u. Tylko pan Ambroży miał już coś do pisania w swoim gabinecie, a ciocia Radomicka podążyła do siebie, aby odmówić obowiązkowe pacierze przed przyjazdem gości, których oglądania była zasadniczo ciekawa.

Gdy zatem o godzinie piątej zahuczała przed podjazdem pałacowa limuzyna, przybywająca od stacji kolei, ruszył ku drzwiom wchodowym duży zastęp ludzi.

Pani Berta Canevari zręcznie wyskoczyła z samochodu, spowita w szary płaszcz jedwabny, z głową okutaną przejrzystym welonem. Przez te osłony widniała jednak piękna, długa postać kobieca i błyskały rozumnie uśmiechnięte oczy. Modą nowożytną, nogi, widoczne aż powyżej kolan, w różowo-szarej pajęczynie pończoch, zdały chwalebnie egzamin formy i ponęty. Za nią postępował czarny, wielkooki małżonek, oczywiście południowiec, lecz że nie okazywał włoskiej ruchliwości i fantazji, był owszem sztywny, i jakby zgorzkniały, posądzano go często o semickie pochodzenie. Ale były to tylko pozory.

Po paru uściskach i shake-hands'ach, pani Berta rzuciła się w skórzany fotel przedpokojowy, jakby omdlewając.

— O! moje dzieci, co za upał!

Choć tu przybywała po raz pierwszy, czuła się już widocznie jak u siebie. Zaczem rzucono się do jej rozbierania. Mężczyźni zwłóczyli z niej jedwabną opończę, kapelusz z sążnistym welonem, niby jakiegoś mglistego smoka, zdjęła z niej pani Wercia. Ukazała się głowa krótko utrefiona, szaro-płowa, może nawet barwy przyrodzonej, twarz matowa, awanturnicza, piękne oczy, świeże usta i zęby.

Wszystkie te szczegóły badał i sumował z upodobaniem Kryś Ramułtowski, doskonale usposobiony, gdyż pani Canevari poznała go i powitała radośnie:

— Ah, monsieur Kriche.

Zjawił się pan Radomicki, na którego widok pani Canevari powstała z fotelu i podała mu serdecznie obie ręce, przysuwając się zarazem do niego tak blisko, że pan Ambroży aż cofnął się o pół kroku i, pocałowawszy prawą tylko rękę, szukał przez chwilę, coby powiedzieć.

— Mieliście państwo ciężką podróż w ten upał.

Dalszej treści do rozmowy dostarczył pan Chalecki, który nadchodził, prosząc pana Ambrożego, aby zechciał go przedstawić pani Canevari. W kilku słowach objaśnił Radomicki, że przedstawia dawnego dygnitarza i posesjonata, pozbawionego obecnie swych majątków i urzędów przez Sowiety.

— Excellence... — zaczął pan Dymitr.

— Nie jestem Ekscelencją — odrzekła pani Berta — a pan tak zapewne

przywykł do swego tytułu i swych kolegów, że nie może od niego odwyknąć.

Stary ćwik nie zapomniał języka w gębie:

— Mój tytuł zapadł się już w nicość razem z całą epoką, w której coś znaczył. Pani zaś Ekscelencja jest jak gwiazda jeszcze niewidoczna, lecz już przewidziana przez astronomów. Jutro wzejść musi.

— Dziękuję za przepowiednię — odrzekła pani Canevari, zdziwiona nieco stylem uroczystym komplementu, a zarazem upatrując w pooranej, lecz energicznej twarzy starca, jakaby też z niego mogła być korzyść dla polityki włoskiej.

Tymczasem Chalecki przysiadł się i zaczął dobywać z pamięci swe wspomnienia z Rzymu niewczorajsze, bo najświeższe sięgały lat dziecięcych pani Berty. Słuchała jednak uważnie, nabierając dobrego mniemania o kulturze starych Polaków. Z młodymi nagadała się już dużo, ale wcale o innych tematach.

Gdy przedstawiono jej zkolei hrabiego Skumina, twarz jej ożywiła się jaskrawo i zalotnie. Pomyślała zapewne, że tego statecznego i rasowego młodzieńca dobrzeby mieć przy sobie dla rozmaitych użytków, poważnych i zabawnych.

Ale służba oznajmiła, że podano podwieczorek na tarasie ogrodowym. Pani Canevari wymawiała się, że jest dotąd w sukni podróżnej. Uspokojono ją zapewnieniem, że nikt się tu nie przebiera przed wieczorem, więc poszła tylko na chwilę do pokojów pani domu, aby poprawić włosy.

Na tarasie, na którym cień już się rozpościerał, zastawiono mrożoną kawę, herbatę i owoce. Lekkie i chłodzące alimenty, ulga w upale i wzmożone przed wieczorem zapachy parku dawały ucztę harmonijną wszystkim zmysłom.

Siedziano długo na tym tarasie, rozkosznie i leniwie, bez wielkiego nawet nakładu dowcipu w konwersacji, niby na posiedzeniu haszyszowem, a bez obawy złych skutków trucizny. Dopiero zbliżanie się zachodu słońca rozpędziło kompanję do pokojów, dla zmiany sukien na wieczorowe. Wieczerzę podano już przy oświetleniu elektrycznem.

Niezbyt długo zabawiono przy stole w sali jadalnej. Gdy goście, po sumiennem obżarstwie dziennem, dali jeszcze radę dwom lekkim potrawom, zateśknili wszyscy jednomyślnie do powrotu na taras, który musi być teraz jeszcze rozkoszniejszy, wśród zamroczonego parku. Jakoż czarną kawę podano znowu na tarasie, oświetlonym przez dwie duże latarnie.

Noc letnia w parku pałacowym jest dziedziną mocnych upojen i podniecia do rozigrania pożądań. Nie jest to atmosfera lasu, który w nocy potrafi osłaniać wyuzdania i zbrodnie. W parku zaś podpałacowym widać stróżujące światła okienne, niby oczy sumienia, czuć w pobliżu stojące na straży prawa

przyzwoitości. Nie słyszano nigdy, aby ktoś w uroczystym stroju, poszedłszy do ciemnego parku po wieczerzy, popełnił zabójstw o bliźniego lub bliżniej. Jeżeli się zdarzały kiedy uczynki, bojące się światła dziennego, to nie mordercze, i wynikały ze zgodnego porozumienia dwojga ludzi. W każdym razie park spowity nocą letnią przyciąga do siebie mocno ludzi, zwłaszcza podnieconych romantycznie po wypiciu kilku kieliszków wina.

Odczuwała to przyciąganie mniej więcej cała kompanja zgromadzona na tarasie. Ale nikt jakoś nie odważał się proponować przechadzki po parku zupełnie już ciemnym, gęsto zarośniętym, oświetlonym tylko w małym odcinku przez latarnie i okna domu. Aż odezwała się najśmielsza z towarzystwa pani Canevari:

— Chciałabym wiedzieć, co tak odurzająco pachnie w tym parku?

— Zdaje mi się — objaśnił właściciel parku — że najmocniej pachną tu klety, które mamy rozstawione przy tarasie.

— Nie, nie — spierała się pani Berta — ten zapach dziwny, jedyny, przychodzi z dalszych stron parku.

— Są tam krzewy i kwiaty, i ziółka mocno pachnące w nocy, ale trudno mi zgadnąć, która roślina miała szczęście tak mile trafić zapachem do noska pani — zdobył się Radomicki na rzadki w jego ustach komplement.

— Może... mandragora? — odezwał się wśród zaległej ciszy Chalecki.

Niepewne światła układały twarz starego w maskę fauna i oczy mu błyskały satyrycznie.

— Co to takiego? — zapytano z kilku stron.

— Mandragora — ciągnął pan Dymitr — roślina cudowna, bajeczna, której korzeń ma własności magiczne..., o której pisał Machiavel.

Pani Canevari wpadła w istny zachwyt:

— Tak, tak! Mandragora Machiavela!

I rzuciła staremu graczowi spojrzenie prawie miłosne.

— Chodźmy jej poszukać — rzekł Chalecki, powstając z ochoczym gestem i podrygiem.

Na inicjatywę tak poważną nie było protestu. Zerwała się pierwsza pani Berta i chwyciła za ramię Skumina.

— Pan zna park? — Wskaże mi pan drogę.

Powstała zaraz i pani Wercia, udając również wesołość.

— Ja znam swój park, ale pan Kryś mnie poprowadzi. Może ma węch lepszy, bo chyba węchem dochodzić będziemy.

Chalecki nie omieszkał podać ramię jednej mężatce, której mąż podążył bez pary. Poszło też jeszcze paru luźnych panów.

Reszta towarzystwa, stateczniejsza, pozostała na tarasie z gospodarzem,

spoglądając pobłaźliwie na wyprawę, w której treści nie było zresztą nic nadzwyczajnego.

Kawalerowie podali rękę damom tylko przy sprowadzaniu ich ze schodów tarasu. Szli następnie w pobliżu swych dam. Fraki i wieczorowe toalety kobiece, zapadając coraz głębiej w ciemność, sprawiały wrażenie romantyczne. Ale rozmowy, rozchichotane na tarasie, ucichały w miarę zapadania w cień, a nawet nie kleiły się. Wreszcie na jednej dróżce zupełnie osłoniętej i ciemnej gromadka zbiła się w kłębek i posuwała się ostrożnie, nie myśląc już o niczym innym, jak o namacaniu drogi pod stopami.

W pewnej chwili Wercia, znalazłszy się tuż obok Skumina, pociągnęła go na prawo. Spostrzegł się Jan niebawem, że postępują po innej dróżce, oddalając się od reszty towarzystwa. Odezwał się cicho:

— Ależ tamci gotowi się zabłąkać.

— Pal ich lichy! — odrzekła Wercia — niech idą przed siebie, a dojdą znowu do światła i zobaczą przecie, gdzie dom stoi.

Po chwili odezwała się innym tonem:

— Nigdy już nie rozmawiamy z sobą...

— Zależy to od ciebie, Werciu.

— Zależy to od moich zajęć gospodyni i od ciągłego przepływu gości. Od owej wyprawy na kozła nie miałam chwili na rozmowę z tobą we dwoje. Jakże ci tu jest, w tym gwarze?

— Doskonale... ale pierwszy raz oddawna, w tej chwili — cudownie.

— Czy nie powiedziałeś tego samego Bercie, gdyście szli razem naprzód?

— Skądżeby?! Wiesz przecie, że nie jestem lekkoduchem i staram się nie kłamać.

— Wiem. Ale ona zarzuca na ciebie sieci.

— Nie zauważyłem... albo raczej — zauważyłem, widzisz, jakim z tobą szczery. Ale te sieci mnie nie złapią.

— Nie podoba ci się?

— Jako typ, owszem, wydaje mi się ciekawą.

— Ona jest bardzo ciekawa, Janku. To kobieta nowożytna, typ, o którym my jeszcze mało wiemy, szczególnie w naszych dworach wiejskich. Poznałam ją w przeszłym roku w Warszawie i dość często widywałam. Zaprosiłam ją teraz do Gdycz, żeby się lepiej jej przyjrzeć.

— Ach, to ty ją zaprosiłaś, nie Ambroży?

— Ambroży także, szczególnie męża. Ale mój był pomysł. Tylko zaprosiłam ją dla siebie, dla innych... dla Krysia na przykład — ale nie dla ciebie.

Skumin nie mógł w ciemności dojrzeć wyrazu twarzy pani Radomickiej, ale głos jej wydał mu się nie tylko nakazującym, lecz cieplejszym niż zazwyczaj.

Pochlebiło mu to.

— Zakazujesz mi z nią rozmawiać!

— Rozmawiać możesz, ale... nie tak, jak my z sobą.

— Tego nie potrzebujesz mi przypominać, Werciu. Rozmawiam z tobą inaczej, niż ze wszystkimi innymi.

Zaległo krótkie milczenie, znaczące więcej, niż szereg słów oględnych i skrupowanych. Nareszcie Wercia, kończąc głośno nieme rozumowanie, odezwała się:

— Bo przecie każdy musi mieć kogoś takiego do specjalnej, serdecznej konwersacji.

— Bezwątpienia. Ale czy mówisz za mnie, czy za siebie?

— Za nas oboje. Przecie jesteśmy przyjaciółmi?

Ręce ich spotkały się odrazu w ciemności, pociągnięte ku sobie magnetycznie, uściśnęły się mocno i długo.

— Jabym ci tyle miała do powiedzenia, Janku. A najprzód chciałabym znać twoje zdanie o jednej teorii, którą słyszałam od tej samej Berty Canevari.

— Ależ to zaciekawia mnie nadzwyczajnie!

— Tak — tylko już w tej chwili niema czasu. Musimy z cieniów wydobywać się na światło i ludziom się pokazać.

— Otóż to! Ciągłe to samo! W tem życiu pałacowem tańczymy nieustannie menueta w kilka par i w otoczeniu jeszcze galerji. Tu trzeba się ukłonić, tam okazać wstrzemięźliwy sentyment, a zawsze znaleźć się na przepisanej miejscy i o właściwej porze. Na poufne zwierzenia niema czasu, ani miejsca. Ileż razy chciałem z tobą, Werciu najmielsza, pomówić na osobności! Zawsze niepodobieństwo. A gdyby nawet i była chwila sposobna, czy ja mogłem wiedzieć, że chcesz ze mną rozmawiać tak, od serca do serca?

— Jakto? nie czułeś?

— Nie śmiałem czuć. Nie otrzymałem widomego znaku, żadnego dowodu.

— Żadnego? Nie pamiętasz?

— Ach, tamten, gdy mi odstrzeliłaś kozła? Ale to był dowód taki żartobliwy, ukradziony...

— Masz lepszy — rzekła Wercia głosem znizonym, ochrypłym od namiętności.

Szybkim i celowym ruchem zbliżyła się do niego, objęła za szyję nagiem ramieniem i podała mu usta pałające. On ją chwycił wpół, objął drugą ręką klejnot jej utrefionej głowy. Kilka sekund trwali w milczeniu upojonem.

Ta, która wywołała piorunowe spięcie, ocknęła się pierwsza.

— Uważaj, mój ty... targasz mi włosy... puść mnie...

Puścił nareszcie. Ona zaś komenderowała dalej:

— Nic nie mów... Idźmy obok siebie, ale bez żadnych już... Musimy ochłonać. Już przebłyskują światła domu.

Naraz przystanęła i plan zmieniała:

— Nie. — Trzeba się złączyć z resztą towarzystwa i razem powrócić. Stąd widzimy główny trawnik przed pałacem. Tędy musi przejść każdy, kto powraca. Patrz, już tam jedna para do nas się zbliża — pewno Kryś z Bertą.

Wpatrywali się w dwa cienie wolno płynące, większy i mniejszy, męski i kobiecy.

— Ej, nie — rzekł Skumin, który odzyskał już zmysły, a wzrok miał doskonały — to Chalecki ze swoją damą. Wygląda jak Mefistofeles z Martą.

— A my jak wyglądamy? Czy ty nie jesteś Faustem?

— Ach nie! My piszemy swój własny poemat.

Wercia obdarzyła go czułem, lecz już uspokojonem spojrzeniem.

Poszli oboje na spotkanie i obie pary zeszły się.

— Jakże, przepraszam państwa, mandragora? — dowcipkował pan Dymitr, wcale nie zmęczony i z niewygasłym humorem — znaleźliście ją?

— Nie! — A pan czy znalazł?

— Pachnie mi ciągle, ale uszczknąć ją — już się nie spodziewam.

Baraszkując w esoło, obie pary wróciły na taras, gdzie już znaleźli się inni poszukiwacze mandragory, oprócz pani Canevari i Krysia. Ci powrócili w dobry kwadrans później, roześmiani i świegotliwi. Pani Berta rozpoczęła energiczną sprzeczkę ze Skuminem i panią Radomicką.

— A to pięknie tak nas opuścić w nocy i na niebezpiecznym terenie! Ani pan „Kriche“, ani ja nie znamy parku. Błądziliśmy po strasznych, przepastnych drogach!

— Zalega wątpliwość — bronił się Skumin — kto kogo opuścił. Poszliśmy jedną drogą, a państwo inną. Potem zwoływaliśmy się — no i powróciliśmy razem z tem oto państwem.

— Hrabia Skumin ma, jak widzę, wybitne zdolności dyplomatyczne. Czy pan był kiedy „dans la carrière?“

— Nie, pani. Uczę się tylko po amatorsku dyplomacji, zwłaszcza od pań, które zdolniejsze są od nas.

Tej sprzeczki niegroźnej, mającej tylko cele wykrętne, słuchano z wybuchami konwencjonalnego śmiechu. Jedna tylko stara panna Radomicka, „ciocia Figa“, która dotrzymywała jeszcze kompanji na tarasie, nie śmiała się, lustrowała nieżyczliwie całą postać zagranicznej damy, jakoś rozhecowaną, twarz jej rozgrzaną pomimo wieczornego chłodu i maniery zbyt swobodne. Nie to, co „nasza Wercia“, która także wraca z parku, ale wygląda inaczej. Jednak po uważnem przyjrzeniu się dostrzegła, że i Werci oczy błyszczały wyjątkowo, a

uczesanie włosów straciło trochę na symetrii? — Ponieważ zaś, w przekonaniu staruszki, Pani Radomicka nie mogła popełnić nic niestosownego — i domysły co do pani Canevari mogły być nietrafne. Obie panie przedzierały się zapewne przez gąszcz i potargały włosy. Co zaś do podniecenia twarzy?.. Może podziałał zapach tej mandragory, o której mówiono? Czego to ludzie dzisiaj nie odkrywają!

Najobojętniej słuchał dyskusji żony swej pan Canevari, mając zupełne zaufanie do jej sposobów popierania interesów Italji, Nie przerwał nawet rozmowy z panem Straszyńskim o winach włoskich, tak mało w Polsce znanych, a zachowujących od czasów starożytnych swe niezrównane zalety.